№ 22.

WARSZAWA, DNIA 30 MAJA 1863 R. — 18 Maja.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerowac można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom daw iéj Krzemińskiego.*

DOMOWE SPRAWY

KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.

(Dokończenie).

Otoczone wojsko z Sobieskim pod Podhajcami, które w tak szczuplutkiéj liczbie całą stanowiło obronę obszernego kraju, nie traciło jednak na duchu i odwadze, a ufne w męztwo i roztropność swego dowódzcy, oczekiwało co chwila bez trwogi nastąpić mającéj bitwy. Wkrótce odezwały się strzały z dział tureckich, na wyprawę tę dostarczonych przez Sułtana; z obozu polskiego huknęły także armaty i posypał się ogień z ręcznéj broni na chmarę tatarskiéj dziczy. Znaczne straty poniesione w szeregach nieprzyjaciół krzyża, rozwściekliły krwiożerczą tłuszczę, chcąc przeto zapobiedz im, dano znak, i horda zawyła dzikim krzykiem, gotując się do ręcznego boju.

Chwila więc stanowcza zbliżała się, Sobieski szybko objechał stojące w porządku kolumny wojska, wymową dodał otuchy, i zagrzawszy męztwem, puścił je z dobytemi pałaszami na nieprzyjaciela. I zaszczękały oręże, ku niebu wzniósł się przeraźliwy krzyk walczących, trup zaczął się walić przy trupie, ale walka nie trwała długo, męstwo wojska wyrównało liczbie i nieprzyjaciel pierzchnął, zaściełając ziemię dwoma tysiącami zabitych. Ze strony wojska przeszło 400 poległo, co w stosunku do siły, większą stanowiło stratę od tatarskiéj.

Z tém wszystkiém rozprawa ta dodała serca naszym, a odjęła zapał barbarzyńcom, pewnym zwycięztwa za pierwszym hasłem do napaści. Straciwszy zatém odwagę do otwartego boju, obóz polski wzięli w oblężenie, broniąc jak najtroskliwiéj wszelkiego dowozu do niego żywności. Zmiana ta taktyki stałaby się zgubną dla wojsk Sobieskiego, ale przyszła Opatrzność w pomoc, i wyprowadziła je z niebezpieczeństwa niespodziewanym zwrotem okoliczności.

Kiedy bowiem Doroszenko z Kozakami a Sułtan Gałga z Tatarami, naciska Sobieskiego pod Podhajcami, Sierko z 20,000 zachęconego przez siebie ludu, zdawszy z przyczyny nagłéj choroby dowództwo nad nim Iwaszce, wkroczył do Krymu,

i bez względu na wiek i płeć, ciął wszystko w pień, paląc, niszcząc, rabując, w zemście za mordy dokonane przez tatarów na Ukrainie. Skutkiem tego spłonęły wszystkie chaty ludu rozbójniczego, ludność wycięto, odebrano bydło zabrane na Ukrainie, wzięto i spalono Perekop, co taki wywarło popłoch na lud pozostały, że uciekł w lasy a han ze stolicy. Syty zemsty i zbogacony łupem, Iwaszko bojąc się, aby nań nie napadli powracający z pod Podhajec Tatarzy, spiesznie powrócił na Ukrainę.

Za przybyciem o tém wieści do Sułtana Gałgi, trwoga niezmierna padła na barbarzyńców, a nie dowierzając Doroszence skłonnego już do opuszczenia Tatarów, przytém przerażeni umyślnie rozpuszczoną wiadomością o zbliżaniu się Wiśniowieckiego z 20,000 zbrojnego ludu, a osobno znowu samego Jana Kazimierza także ze znaczną siłą, dla połączenia się z hetmanem Sobieskim, posłali posłów do obozu polskiego i zawarli umowę d. 16 Października 1667 roku, mocą któréj przyjaźń według dawnych umów z Rzecząpospolitą zawartą została. Z Doroszenką podobna umowa jednocześnie zawartą została, i tym sposobem Sobieski wybawionym został z niebezpieczeństwa, a dzikie hordy w przeciągu dwóch dni zlały się do swego łożyska. Nakształt jednak drapieżnego zwierza, mimo umowy potwierdzonéj przysięgą i danych nawzajem zakładników, Tatarzy w powrocie przeszło 300 wsi spalili na Pokuciu i napotkany lud zabrali w niewolą. Czyn ten nie uszedł przecie bezkarnie, oprócz bowiem oddziału który Sielnicki pod Narajowem rozproszył i 1500 położył trupem, szlachta Wołyńska złączona z pułkiem Ordynackim, dognawszy pod Dubnem uchodzących z łupem, tak pomyślnie uderzyła na nich, iż znaczną część wyrznęła, jeńców zabranych odebrała, i z próżnemi prawie rękoma, przymusiła do haniebnéj ucieczki.

Tymczasem Marja Kazimiera nie wiele zajmując się, a przynajmniéj nie przewidując niebezpieczeństwa, w jakim się mąż jéj znajdował przebywa ciągle w Paryżu, konszachtując o pensją i godności dla ojca. Sobieski nie zapomina jednak o swéj najukochańszéj Marysieńce, i jak tylko kraj wybawiony został z niebezpieczeństwa w pięć dni po umowie z Tatarstwem i Doroszenką, pisze do niéj list następujący.

Au camp de Podhajce 21 Octobre 1667.

Jedyna duszy i serca pociecho, naśliczniejsza, najwdzięczniejsza Marysieńku, Dobrodziejko moja.

Siedemnaście dni nie przyszło mi z moim się Wci sercu memu odezwać pokłonem a to dlatego, żem tyle dni w oblężeniu zostawał od wojsk tatarskich i kozackich, z którego jak tylko mnie Pan Bóg uwolnił, tak téjże godziny zaraz oznajmuję Wci sercu memu, że jako oblężenie nic mi więcéj nie przydało było smutku i melancholji, nad ten, który zawsze w sercu noszę, *par l'absence de mon Astrée*, tak i tak wiele szczęśliwych okazji. a naostatek pokój *avéc un grand avantage de la République*, nie przydał mi najmniejszéj pociechy ani wesołości, ponieważ żadnéj dla mnie nie znajdzie na ziemi, kiedy nie patrzę na to, co jest życiem mojém, na to, gdzie serce i wszystka myśl moja.

Wszystko za łaską Bożą, dobrze się stało. Nieprzyjacioł nabito siła; nabrano tak wiele więźniów jako nigdy więcéj jak Polska Polską. Na ostatek uczynił się taki pokój. jako nie mógł być na świecie lepszy, na stronę króla Imci i Rzeczypospolitéj. Pisałem prosząc Monsieur l'ambasadeur, aby go przetłumaczywszy na francuzkie, posłał sercu memu. Rozumiem tedy, że ma być za co obligowana Rzeczpospolita *Sylwandrowi* (to jest Sobieskiemu) kiedy to uczynił, mając wszystkiego wojska 8,000 a przy sobie najwięcéj 3,000, a Tatarów śmiele rzec mogę 160,000, bo ich więcéj nigdy w Polsce nie było; Kozaków 24,000, dział 24. To tylko, że nasze dobra tak zniszczone, że jakoby ich nigdy na świecie nie było. Zborów wziąwszy, gdzie inszych było zbiegło trzy miasteczek, ze wszystkiemi wsiami, a rachowało się ludzi najpewniéj 15,000, poszli pod Pomorzany i tam miasto wzięli i sam się tylko utrzymał zamek, to aż na ostatek 6,000 okupu dać musiał. I to by było nie pomogło, tylko, żem tu stanął o mil tylko 5 ztamtąd. Zaraz porzuciwszy tam wszystko, przyszli; a jam téż od siebie wszystką prawie wyprawił kawalerją, nie zostawiwszy tylko kilka chorągwi hussarskich, rajtarów i dragonów. Tamta zaś kawalerja, kiedy mnie oblegli, ustawicznie ich infestowała. Na ostatek, nasza czeladź tak już wprawiła się była w nich, że na każdą noc po kilkaset brała im koni, i tak pokój z nami zawrzéć musieli.

Hetman Zaporozki, w polu zsiadłszy z konia, przepraszał mię i wyrzekł się wszystkich tureckich protekcji i przysiągł ze wszystkiem wojskiem być wiernym królowi Imci poddanym. Nas tedy samych tylko, mogę śmiele mówić, zwojowali, spalili do jednéj drobiny, zboża, siano, chałupy i wszystko. W Pomorzanach samych wzięli bydła więcéj niżeli 20,000. Kiedym się ich pytał, dlaczego na mieście tylko się mścili, powiadali, że dlatego, żeś do nas w pole nie wyszedł, tak jak drudzy hetmani, żebyśmy cię byli znieśli, a potém, żebyśmy byli bezpiecznie wasz kraj plądrowali a tak teraz żadnego pożytku mieć nie możemy, bo nas

wszędy i z fortec biją i łapają. A potém, kiedy w twoich majętnościach stać będziemy i one pustoszyć, to ty musisz, żałując swego dobra, taki z nami uczynić pokój jakiego nam trzeba.

To skończywszy, w większym teraz jestem kłopocie, nie wiedząc gdzie się z wojskiem obrócić. Pieniędzy dotąd i jednego nie wzięli halerza: postrzelonych gwalt rannych. A król Imć żadnego nie chce dać ordynansu: do tych czas ledwo i wiedział, co się tu z nami i działo. Ja *par le Novembre* jeszcze się tu w tych zabawię krajach, abym do Białéj Cerkwi wszystkie pootwierał pasy. *En Décembre* powrócę, postawiwszy wojsko gdzie będzie wola Króla Imci.

Podczas pobytu w Paryżu Marji Kazimiry, urodził się tam d. 2 Listopada 1667 r. pierwszy syn Sobieskiego. Odebrawszy o tém wiadomość ucieszył się niewymownie czuły małżonek, i zaraz rozpoczął targi jak nowonarodzonego ochrzcić. Matka pragnęła nazwać go po francuzku Ludwikiem Henrykiem, ojciec Jakóbem, gdyż powiada w liście swém Sobieski, imię to w Polsce szanowane, a nosił je też ś. p. ojciec mój kasztelan krakowski. Staje się jednak tak jak chce małżonka, i choć ochrzczony został z imionami Jakób, Ludwik Henryk, powiada przecież Sobieski: we Francji niechaj się tam nazywa Ludwikiem, Henrykiem, w Polsce zaś będzie niezaprzeczenie Jakóbem. W późniejszych listach, widać troskliwe zajęcie się ojca pierworodnym swym synem. Przepisuje mu sposób żywienia, chowania, doktora, mamkę, z tą czułą drobiazgowością, jaką okazywał pamiętając. aby najdroższa Marysieńka miała w Warszawie świeże masło z Pielaskowic lub Żółkwi i dobrą śmietankę do kawy. Drobnostki te jakkolwiek na pozór mało znaczące, odkrywają jednak poczciwą duszę Sobieskiego i mimowoli pociągają do niego serce.

Długi jednak pobyt żony w Paryżu zaczyna się troszkę przykrzyć Sobieskiemu, a raczéj dosyć znakomite wydatki, na pokrycie których, idą prawie w całości dochody licznych starostw na Rusi.

Pomimo tego Marja Kazimiera nie opuszcza Paryża i dopiero w drugiéj połowie r. 1668, wróciła do Polski, nie wiadomo przecie z jakiemi planami i instrukcjami dworu wersalskiego. A musiały one być dosyć ważne; w tym bowiem czasie przypadła abdykacja Jana Kazimierza, i Sobiescy ciągle w jak najlepszym zostawali stosunku z królem francuzkim. Stosunek jednak ten nie wydał dla Wersalu spodziewanego skutku, bo przeciwnie z wolą i dążnością Sobieskich, obrany został królem Michał Korybut Wiśniowiecki. Wpływ zatém w Polsce austryjacki wziął przewagę nad francuzkim, a Sobiescy dotknięci klęską polityczną stali się oponentami świeżo obranego króla, tymbardziéj że znalazły się powody osobiste i majątkowe i to jedynie przez Marją Kazimierę.

PRZYSŁOWIA UKRAIŃSKIE.

Obiciau Pan kożuch i słowo joho teple.

Łaska pańska do poroha
Z panamy ne wdawajsia.

Pan obiecał mi kożucha,
I słowo tak grzeje,
Że człek sobie w palce dmucha,
Od zimna kostnieje.

Łaska pańska wiele warta,
Lecz tylko do progu;
Ej tę łaskę rzuć do czarta,
A poleć się Bogu.—

Z magnatami się nie wdawaj,
Bo to często plami;
Własną pracą biedę łataj.
A znajdą cię sami.—

---

* * *

Ubiegłe dni szczególnie odznaczały się rzęsistym deszczem i hukiem piorunów. Dla zasiewów, łąk i ogrodów skarby to niepoliczone; niebo z każdą minutą krociami obdarzało ziemię, a nam Warszawiakom podwójną przynosiło radość, bo obok nadziei, co daj Boże obfitych urodzajów, uwolniło choć na chwilę od nieznośnego kurzu, przed jakim ochrony nawet już w Saskim ogrodzie znaleźć niepodobna. Dawniéj tam przynajmniéj, świeższem i czystszem można było odetchnąć powietrzem, nacieszyć się prześliczną majową zielenią.... dziś zbyt powłóczyste suknie pań używających przechadzki, i ciągłe odbywane wysypywania gruzem chodników, ogród napełnia tumanami nieznośnego pyłu, który wzbijając się po nad krzewy i drzewa, liściom i trawie nadaje brudno popielatą barwę, a pieszych spokojnych wędrowników, wygania z ogrodu, skazując ich na przepychanie się w tłoku ulicznym, lub na zamknięcie w ścianach własnego pomieszkania.

Wszędzie więc pył i kurz nieodstępnym był i jest naszym towarzyszem, a chociaż mimo znanego wstrętu Warszawiaków do rannego wstawa-

nia znalazło się wielu, co uprzedzając rozbudzenie się miejskiego ruchu, razem niemal z ptastwem, porzucało łoże, aby przemknąwszy się przez ciche jeszcze ulice, użyć swobodnéj przechadzki w ogrodzie, to i wtenczas kurz poruszany potężnemi miotłami zamiataczy, nie tylko nie przestaje ich prześladować, ale długiemi gęstemi paszczami jakby dymem z kominów wijącym się tuż przy saméj ziemi, najzapaleńszych i najupartszych zmuszał do rejterady.

Przeciw téj operacji czystości ulicznéj któryś ze zwolenników przechadzki zaniósł protestacją wKurjerze Warszawskim, dopominając się zlewania ulic wodą, która łatwo przez otworzenie wodociągów, przeprowadzić rynsztokami po całym mieście we wszystklch kierunkach a następnie używać jéj do skrapiania przy zamiataniu. Rada ta bardzo praktyczna bez skutku jednak uwięzła w szpaltach Kurjera i od rana samego jak dawniéj tak i teraz miotły, suknie i przesiewacze gruzu w ogrodzie, z wytrwałością pracują nad tworzeniem kurzu i zasypywaniem niém oczów, ust, nosów i uszów przechodniów.

Na te jednak niedogodności mała dziatwa i podrastająca nie zważa, i gdy pierwsza z mamkami i niańkami zasypuje cały prawie jeden trawnik, druga w małych gromadkach rozrywa się piłką która porzuciwszy prawie zupełnie dawną ekstrametę, dziś wyłącznie króluje w palancie.

Pląsy, gonitwy swary i zapasy nieodłączne od téj młodych igraszki znacie dobrze. Wszystko to odbywa się dawnym trybem i w niczem prawie nie uległo najmniejszéj zmianie, ale przybyli nowi aktorowie, których przed laty przyjętoby gradem kamieni, obrzucono błotem, wysmagano prętami, i w pośród drwin, szykany i przedrzeźniania wypchniętoby za bramę z przekleństwem i bolesnym szturchańcem. Niesprawiedliwość ta, a nawet nieludzkość, jak wiemy dotykała zawsze i wszędzie, naszych Żydów polskich... dziś, zajrzyjcie w dzień sobotni do ogrodu, a w każdéj chwiii znajdziecie kilku młodych żydków, bawiących się w piłkę, rozmawiających wprawdzie właściwą sobie mową, ale w wyrażeniach do gry przywiązanych, używających wyłącznie języka polskiego.

Mieszanina ta dwóch języków tak do siebie niepodobnych, chociaż niemiła i śmieszna, dowodzi jednak, jak każde zbliżenie się żydów do nas, oddziaływa korzystnie na ich przeobrażanie się. Nieodtrącajmy więc nawet drobiazgów posługujących ku temn celowi b o z pyłków rosną góry a z drobnych cegieł gmachy, miasta i stolice: oświata dokona reszty, któréj tak niezmordowanym i wytrwałym poplecznikiem jest Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitbw polskich, redagowany przez pana Daniela Neufelda.

Gdyby rady i myśli pomieszczane po różnych pismach i książkach corocznie w świecie wydawanych, zaraz przechodziły w czyn miłości i jedność tak pożądane w każdem społeczeństwie, jużby dawno wieńcem braterstwa zespoliły z sobą ludy, i przepowiednia Chrystusa o jednym pasterzu i owczarni jeszcze za dni naszych stałaby się faktem spełnionym.

Za jutrzenkę téj błogosławionéj chwili uważać można wzrastający olbrzymio zapał do nauki i ogarniający nawet społeczeństwa najmniéj ucywilizowane.

Podług bowiem odebranych wiadomości, Egipt szybkim krokiem podąża do odrodzenia i moralnego podniesienia. W każdéj wiosce ma być założoną szkółka, a dzieci miejskie bez żadnego wyjątku będą obowiązane pobierać w nich nauki. Dla zachęty i ułatwienia rząd ma im udzielać odzież i obiad. Oprócz tego, w miastach obwodowych mają być założone szkółki wyższe z mieszkaniem i utrzymaniem dla uczniów. Dziwniejszym jednak od tego jest, zapał do nauki jaki ogarnął Tatarów zamieszkujących południowe brzegi Krymu. Niedawno bowiem Odeski wiestnik otrzymał list z tamtych stron, a mianowicie z powiatu Jałtskiego, z prośbą o zapisanie jakiéj gazety w języku tureckim, albo o wskazanie sposobu, w jakimby można zaprenumerować gazetę turecką do czytania dla Tatarów krajowych, którzy pragną czytać i śledzić wypadki spółczesne, ale z powodu nieznajomości języka rossyjskiego, nie wiedzą jak się wziąć do rzeczy.

Gdyby dawne Faraony lub Hany tatarskie, powstali z grobu i przyjrzeli się synom owych hord, co posłuszne skinieniu, w pędzie na zalew Europy rozbijały się o żelazne piersi naszych ojców, niezawodnie pod wpływem zgrozy oburzenia i podziwu, padliby powtórnie trupem, i wyparliby się potomków, co porzuciwszy miecze, w imię Allacha zasiadają do książki. Czas płynie a z nim i zmiany, piastowane ożywczem ciepłem cywilizacji. Egipt zasiada w szkole, Tatar przy gazecie, Niemcy tłumaczą z tureckiego dzieło o Mołdawji i Wołoszczyźnie, a chłopi polscy spieszą na posiedzenie Towarzystwa Rolniczego, o dwanaście mil drogi, aby zasiąść i radzić wspólnie z klasą wykształconą nad podniesieniem przemysłu rolnego.

Fakt ten tak pożądany i pocieszający, spełnił slę niedawno w pow. Złotowskim we wsi Rudownicy w miejscu zwykłych posiedzeń tamtejszego Towarzystwa Rolniczego. Włościanami zaś a zarazem tak gorliwemi członkami Towarzystwa byli

Gawrył Piotrowski i Kruczkowski, z powiatu Swięckiego, dając przez to nowy dowód, jak włościanie nasi pojmują swe obowiązki, kiedy w nich obudzi się święta chęć naukowéj pracy i kształcenia.

Przeszkody wprawdzie zawsze i wszędzie, stawiają zapory rozwojowi wszelkiego dobra, ale obowiązkiem człowieka jedne usuwać, drugim zapobiegać, a z innemi wreszcie walczyć do upadłego, bez chwili odpoczynku, a szczególniéj bez zniechęcenia.

Gdyby nie przeklęta wódka, która w kleszczach odurzenia i zezwierzęcenia trzyma zwolenników alkoholicznéj uciechy, dziś byłoby wszystko inaczéj; ale same krzyki na pijaków nic nie pomogą, jeżeli im odpowiednie czyny nie będą towarzyszyć. My zaś powstajemy na pijaństwo, obrzucając pijaków zasłużoną wzgardą, ale o wyrób spirytusów, o jak największą produkcję wódki staramy się wszelkiemi siłami, obracając na to wszelkie zasoby zdobytych wiadomości.

I tak w r. 1844 było gorzelń w kraju 2094 które wyrobiły wódki ogółowo wiader 3,864,351. W ciągu lat następnych osiemnastu ubyło gorzelń 96, na pozostałych jednak gorzelniach 1,998 w r. 1862 wyrobiono wiader 4,951,024, produkcja więc powiększyła się o 1,087,173, co za małą rzecz uważać nie należy, bo kiedy w r. 1844 w przecięciu na jednego mieszkańca wypadło wódki $^4/_5$ wiadra, w r. 1862 już wypadło całe wiadro. Że zaś prosty wyrób naszych gorzelni, prawie ogólnie konsumowany jest przez lud wiejski, jeżeli więc od ogólnéj ludności odtrącimy klassę mało używającą krajowych spirytualnych napojów, wszystkich żydów, dzieci całą młodzież obojga płci i wreszcie tych z włościan co nic lub bardzo mało piją, to pozostanie nader szczupła garstka rzeczywistych pochłaniaczy wódki i jedynych filarów gorzelanego kraju przemysłu.

Gdyby usiłowania rolników dotąd głównie ku gorzelnictwu skierowane, były oddane z równą gorliwością powiększaniu paszy, ulepszaniu pastwisk, i t. p. mielibyśmy dziś bydło nie bydełko, gospodarstwo przestałoby być kłopotarstwem, z pól zniknąłby perz i różne zielska, a z chałup wiejskich przekleństwo, nienawiść i obraza Boska. Inaczéj działając, wszystko stało się przeciwnie; po chudych gruntach wałęsa się nędzne bydło, pługiem kieruje ręka przez pół odurzonego najmity, a w chałupach Panie odpuść, bieda fizyczna i moralna że żal serce ściska a dusza boleje.

W ciemnym jednak labiryncie dróg, jakiemi dotąd posuwało się społeczeństwo nasze, nadzieja pozbycia się staréj pleśni, już pobłyskuje, wprawdzie malutkiem bardzo światełkiem i dosyć jeszcze daleko, zawsze jednak i nadzieja coś znaczy. Wódka więc bez wątpienia, coraz więcéj obmawiana, ustąpi z potężnego swego tronu, ciekawym tylko jaki nowy trunek miejsce jéj zastąpi? Ludzie bowiem mimo wszelkich namów, przekonywań i dowodzeń, wyłącznie na wodzie nigdy nie poprzestaną, a téj przychylności dla trunku, słabości i względności dla kieliszka, świeży dowód dali nam poczciwi Szwajcarowie. Wiadomo że gminy w szczęśliwym tym kraju, odbywają posiedzenie najczęściéj puste, bo Szwajcarowie ufając wybranéj przez siebie radzie, wolą strzelać do celu, lub śpiewem przekomarzać się z echami gór, niż nudzić i pocić się nad projektami, prośbami i rachunkami. Rada więc na opuszczająceych posiedzenie naznaczyła karę pieniężną, ale nic to nie pomogło, i posiedzenia zostały pustemi. Wzięto się więc na inny sposób.... i.... cichaczem puszczono wieść, że każdy z członków znajdujący się na posiedzeniu, dostanie pół kwarty wina, i z tego spodziewają się tak licznych gminnych zebrań, iż w wielu miejscach już radzą nad pomieszczeniom spodziewanych gości.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Biblioteka Warszawska (ciąg dalszy).

Chorąży koronny Koniecpolski, do którego zjechał w odwiedziny król Władysław, był szwagrem Wiśniowieckiego, co nie przeszkadzało współzawodniczyć z sobą o tęż samą buławę, przesadzając się w jak najokazalszém dla niéj ugoszczeniu królestwa.

Przy huku zatém armat i blasku sztucznych ogniów, rozpoczętą zostala uczta wieczorem. Za każdym wiwatem na cześć królestwa i towarzyszącém mu uderzeniem dział podhoreckich, wypuszczano z terasy wysoki słup ognisty, za którym z odległéj o kilka mil fortecy w Broszach odzywał się grom armatni, wydany paszczą kilkudziesięciu dział. Że zaś w domu Koniecpolskiego witano króla po raz pierwszy, trzymając się przeto dawnego obyczaju, przystąpiono do ofiarowania królowi puhara pierwszych odwiedzin. Podniósł więc gospodarz przy uczcie niezwyczajnie ozdobny, przez nikogo jeszcze nietknięty puhar, i nalawszy go najprzedniejszym gatunkiem wina, przystąpił do krzesła królewskiego z małżonką. Tu pani Wojewodzina wzięła puhar z rąk męża i upadła do nóg królowi z prośbą, aby starodawnym zwyczajem, raczył przyjąć od niéj ten kielich, który stosując się do przepisu naddziadów, i rządnéj gospodyni pełniąc powinność, ofiaruje mu dla zjednania domowi życzliwości jego i łaski. Potém skosztowawszy wina podała puhar królowi, a ten wypróżnił go ochoczo na chwałę domu. Z Podhorec na

drugi dzień król z Koniecpolskim pojechał do Bród, w których za staraniem Ossolińskiego kanclerza wiol. kor. buława wielka ofiarowaną została hetmanowi polnemu Potockiemu, z rozkazem udania się pod Kamieniec z pewną częścią wojska, a buławę polną koronną dano Kalinowskiemu wojewodzie czernichowskiemu. Pomimo największego sekretu, inni kandydaci postrzegli swe odsunięcie, i skutkiem tego, Wiśniowiecki, Koniecpolski i Ostroróg, stali się nieubłaganemi przeciwnikami wojny, którą z taką wytrwałością przewidujący król Władysław przygotowywał. Za panami temi wzniosły się zewsząd coraz głośniejsze skargi i okrzyki, a podając w powszechną wzgardę wszystkich skłonnych do wspierania zamysłów króla, spowodowały zupełne ustanie wszelkich zaciągów kraju, z niemałą jeszcze otuchą wyglądanych przez króla. Przy braku ochotników i hałasy stawały się groźniejszemi, gdzieniegdzie od krzyków przychodziło nawet do czynów, zaniosło się na zbrojny, gromadny opór wojskom królewskim, tak że obawa wojny domowéj ogarnęła Rzeczpospolitą nie oszczędzając samego króla.

Zawahał się tedy król Władysław, a gdy hetman w. Potocki pomimo obdarzenia go buławą w nadziei zyskania jego powolności, dziękując pokornie odmówił posłuszeństwa rozkazowi podsunięcia się z wojskiem pod Kamieniec, król postanowił projekt wojny odroczyć do nastąpić mającego sejmu i wybrał się ze stron Lwowa z powrotem na Sandomierz Wisłą do Warszawy.

W powrocie tym jednak od państwa Koniecpolskich, nader chłodno został pożegnany, do Lwowa nawet nie wstąpił, ale za to nawiedził Żółkiew zamieszkały przez wdowę Sobieską matkę króla Jana, który obecnie bawił w Paryżu; ta oprócz koni upominkowych, udarowała króla złoconą skrzynką ze srebra, w Moskwie robioną, w któréj znajdowało się 200 do 300 medalów starożytnych. (d. c. n.)

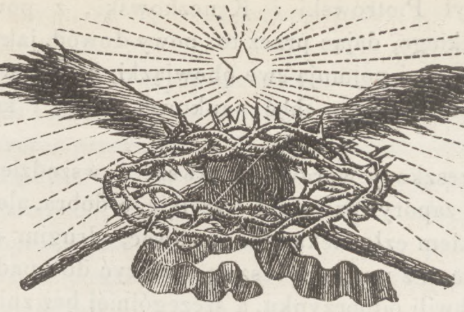
Trzy prawdy dla ludu wiejskiego, napisane przez ks. Józefa Osieckiego, cena złp. 1. Zawiera dowodzenia i rozumowania dotyczące stworzenia świata, człowieka i religji. Pierwsza prawda mówi o początku świata; w drugiéj, przeprowadza autor człowieka od pierwszéj chwili jego życia aż do wygnania z raju; w trzeciéj daje wiadomość o Izraelitach, narodzeniu się, życiu, cudach śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa, z wyjaśnieniem początku religji katolickiéj. Broszurka starannie wydana, napisana jasno i zrozumiale, może korzystnie być użytą w szkółkach wiejskich, a szczególniéj do czytania starszym, którzy zwykle książkom czysto moralnym i religijnym oddają pierwszeństwo przed innemi.

SZARADA.

Pierwsza częstokroć bawi, także *drugi* wsteczny,
Wszystek albo jest smaczny, albo niebezpieczny.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady.—**Okopy**).



Wspominaliśmy w przeszłym tygodniu o świeżych towarach, które nadeszły do magazynu pana Szlenkera, obejrzawszy dokładnie wszystkie te przedmioty, zalecające się prawdziwie dobrym gustem podajemy tu ich opis szczegółowy.

Do najpożyteczniejszych sukien na lato należą bezwątpienia bareżowe, pan Szlenker sprowadził, znaczny ich zapas na rozmaite ceny. Śmiało powiedzieć też możemy, że nigdy nie widzieliśmy tylu rodzajów bareżu jak obecnie. Do najtańszych należy bareż angielski popielaty w marmurek, i w drobne czarne paski, łokieć bowiem zwykłéj szerokości, kosztuje złp. 1 gr. 20. Suknia taka przybrana czarnym bareżem bardzo świeżo wygląda zwłaszcza dla młodéj osoby. Bareż angielski w drobne paseczki poprzeczne czarne na tle czarnym, wynosi po złp. 2. Cieńszy nierównie bareż popielaty w czarny drukowany rzucik kosztuje po złp. 3. Gęsty bareż czarny, prawie nie przezroczysty wyborny na codzienne suknie wypada na téż samą cenę. Dostać można takiegoż bareżu w białe bardzo drobne paseczki lub w białą delikatną krateczkę na tle czarnym. Mozambik popielaty przerabiany czarnym jedwabiem kosztuje od złp. 4 do 5.

Bareż grenadinowy czarny, przerabiany białym jedwabiem w kratę, w gwiazdy lub w inny rzucik, wynosi od złp. 3 gr. 10 do 4, stosownie do gatunku. Piękniejszy od poprzedniego bareż grenadinowy broszowany w czarne jedwabne bukieciki, kosztuje po złp. 6 gr. 20. Bareż w grube prążki poprzeczne bardzo sztywny i klarowny zwany *Gros grains* wypada na złp. 4. Do najświeższych wyrobów tego rodzaju należy tak zwana *Florentyna* czarna wyrób złożony z jedwabiu i wełny sztywny, gęsty i bez połyskn, łokieć od złp. 6 do 7. Inną znów nowość stanowi lekki wyrób z bawełny i jedwabiu zwany *Crêpe de Chambéry* ciemno popielaty w czarny deseń *chinée*, łokieć po złp. 4 gr. 15, takiż sam w czarne liście broszowane jedwabiem wypada na złp. 5½. *Taffetas chambery*, mniéj przezroczysty od poprzedniego, w białą kratę i muszki kosztuje po złp. 5. Niektóre z tych

wyrobów mają po trzy łokcie szerokości, tak że z nich można robić odpowiednie do sukien chustki lub Beduiny. Z pomiędzy tych zwrócił uwagę naszą rodzaj gęstego bareżu czarnego, zwanéj *chaly crêpe*, po złp. 11 łokieć, takiż sam w białą jedwabną kratkę wypada na złp. 13. *Chaly* zwyczajnéj łokciowéj szerokosci w białe prążki albo kratkę, kosztuje od złp. 3 gr. 10 do złp. 4; czarny z popielatym bardzo cienki i ładny, dochodzi do złp. $4^1/_2$.

Po bareżach zasługują na wzmiankę piękne gładkie wyroby z czarnéj wełny, nie przezroczyste, a jednak łekkie i składne na lato wyliczemy je tu po szczególe.

Wyrób wełniany gładki zwany *Sztoff* albo *Taffetas de laine* szeroki na łokiec $1^1/_2$, kosztuje od $4^1/_2$ do 9, stosownie do gatunku, jest to wyrób bez połysku bardzo trwały najwłaściwszy ze wszystkich na żałobę. *Lustryna* czarna, czyli cienki kamlot, szeroki przeszło łok. 2, wypada po złp. 6 gr. 20, Czarny wyrób gładki, zwany *Fil de chèvre*, bardzo sztywny i świeży dochodzi złp. 8. Do najnowszych wyrobów w tym rodzaju należy czarna *Brasilienne* także po złp. 8. Uważaliśmy też piękny wyrób zwany *Taffetas Parisienne* podobny do fularu złożony z jedwabiu i wełny po złp. 11.

Fulary jedwabne noszone od lat kilku, nie tylko że nie wychodzą z mody ale co raz to bardziéj zdają się upowszechniać. Jakoż na lato nie ma chłodniejszéj i milszéj sukni nad fularową. Dodajmy do tego że fular pierze się bardźo dobrze i lubo jedwabny nie wygląda tak strojnie jak inna materja. Pan Szlenker sprowadził mnóstwo fularów po rozmaitéj cenie. Najładniejsze z nich w rzucany deseń grecki, w krzyżyki, listki lub małe półksiężyce wypada na złp. 9 łokieć. Dostanie także ładnego w gwiazdki albo kółka po złp. 6 gr. 20. Do najpiękniejszych należą fulary w podłużne paski białe na tle czarnem.

Oprócz jedwabnych są także fulary wełniane, wyborne w noszeniu. Rzucik na nich biały na czarnym, zupełnie taki sam jak w jedwabnych. Bardzo nam się podobał czarny w białe drobniutkie punkciki, w gwiazdeczki, albo w kresy. Cena jego około złp. 6. Tańszy od tego batyst czarny, wełniany w biały rzucik kosztuje po złp. 3 gr. 10.

Na codzienne suknie zalecamy lekki wełniany, wyrób z koziéj wełny zwany *Fil de chèvre*, w białe paseczki lub kratkę, łokieć za złp. 4.

Powiemy jeszcze słówko o popelinach letnich. Uważaliśmy między innemi, ciemno popielate w czarne podłużne paski, szerokości łokieć 1 i $^3/_4$, w cenie od złp. 6 gr. 20 do złp. 12. Inny wyrób także popielaty jakby powleczony krepą, zwany Crépe *Indon*, wypada na złp. 9.

Pan Szlenker sprowadził także nowe tkaniny czarne wełniane, przeznaczone wyłącznie na burnusy i paletoty. Z tych podobały nam się szczególniéj następujące wyroby: *Double Chambord* nakształt cienkiego rypsu w prążki, po złp. 13, *Sebastopol*, w szersze nieco paseczki podłużne po złp. 12, *Pure laine*, w drobny groszek po złp. 13 gr. 10, *Alma carreaux* w drobne kwadraciki po złp. 16. *Zigzag laine* także po złp. 16. Wszystkie te wyroby zalecają się wybornym gatunkiem i układnością, szerokość ich wynosi łok. 2 i pół.

O UBIORACH MĘZKICH.

Zmienny i nieuchwytliwy jest krój ubiorów męzkich, gdyż po większéj części zależy od osobistego upodobania ubierajęcego się, od pory roku, czasu, miejsca i różnych okoliczności. Krawcy warszawscy, trzymający magazyny gotowego ubrania, poprzestają obecnie na kilku okazach różnego ubrania, nie czyniąc jak lat dawniejszych znacznych zapasów, i nie dziwnego, bo każdy z przychodzących interessantów żąda ubrania w innym guście, innego kroju i z oznaczonego materjału. Roboty krawieckie ograniczać się muszą na obstalunkach: moda nie narzuca się nikomu z téj prostéj przyczyny, iż jéj uchwycić nie podobna nawet przy pomocy wszechwładnych niegdyś żurnalów paryzkich.

Oto niektóre z obserwacji zebrane szczegóły:

Zwykłem ubraniem miejskiem są ciągle tak zwane *żakiety*, których trzy odróżniamy rodzaje: Żakiety z kortów ciemnych, plecionych lub gładkich, fasonem od zeszłorocznego odmiennym, a wcale niepraktycznym, gdyż stany zanadto są przedłużone, a poły krótkie i obcięte; na biodrach dają się niekiedy klapy: cała żakieta obszywa się wązką taśmą lub cienkiem suknem.— Żakiety wizytowe zmieniły formę klap, czyli, jak mówią krawcy fasonu, bo mają wykłady bardzo szerokie i przedłużone prawie do ostatniéj u pasa dziurki; reszta kroju zwyczajna. Wątpić należy, aby takie żakiety upowszechniły się, jako zbyt wyneglizowane zprzodu.—Żakiety kroju jednorzędnego, zapinające się pod samą szyję, z kołnierzem wązkim, składanym dotąd się utrzymują; robią się z kortów rozmaitych.

W innym zupełnie rodzaju widzieliśmy bardzo piękne, tak zwane *Teofilówki*, które się robią z sukna ciemno-granatowego, lub szarego kortu letniego, fasonem zupełnie nowym (pomysłu p. Juszczyka), gdyż krój klap jest szalikowy, przody jednorzędne spinające się na pętliczki, plecy całkowite,

nierozcięte, szeroko dołem krajone, z dwoma od stanu kontrafałdami, na których umieszczone są gable krakowskie ze sznura płaskiego; rękawy krojem dawnym z wyłożonemi mankietami. Teofilówka staranie odrobiona służyć może jako ubranie wizytowe.

Również piękne są *Skalmierzanki*, mające krój plecówów ten sam, co i Teofilówki, kołnierz stojący pod szyję zapinany, przodki spięte na haftki.— Zwykle skalmierzanki robią się z cienkiego sukna koloru bronzowego, lub siwego; brzegi obszywają się taśmą i sutaszem.

Dla zajmujących się gospodarstwem wiejskiem robią się kurtki zwane *zuawkami*, krojem jednorzędnym, z kieszeniami po bokach i na piersiach szamerowane sutaszem.

Okrycia letnie nie zmieniły się w tym roku, i tak samo jak w zeszłym, wyrabiają się z kortów letn.ch i rypsu. Oprócz nich ukazały się jeszcze *płaszczyki amerykańskie* z krótkiemi pelerynkami, krojem paletota, na sznury z tyłu ściągającego się. Peleryny niektórzy krawcy tak krają, iż w czasie deszczu, po spięciu jéj na guziczki, formuje się kaptur zasłaniający głowę. W Stanach Zjednoczonych całe armie używają takich płaszczyków z kapturami.

Pantalony i kamizelki w niczem nie zmieniły dotąd swego kraju.

Kapelusze nizkie zawsze są używane; różne ich mamy kształty, między któremi pojawił się nowy; są to kapelusiki z czasów Ludwika XIV, dość dziwnego fasonu, mają bowiem z przodu rondo wykręcone do góry, a z tyłu opuszczone na dół; nagłówek malútki, okrągły.— Więcéj daleko są noszone kapelusze popielate w formie czółenka, z małém okrągłém rondem. W ogóle jednak znaczniejsza część osób do nakrycia głowy używa więcéj czapek, niż kapelusza. Z czapek najmodniejsze są obecnie zuawki z horyzontalnym daszkiem i podpinką ze skóry lakierowanéj. Czapki tego fasonu robią się nie tylko sukienne lub kortowe, lecz i skórzane, jako lżejsze i na deszcz wygodne.

O bieliźnie i innych artykułach ubrania męzkiego nie mamy w téj chwili co do powiedzenia, chyba to, że ukazały się od niedawnego czasu jedwabne kolorowe koszule, od 5 do 8 rs. za sztukę.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń do obrusa kościelnego haftowany atłaskiem.— N. 2. 3. 14 i 15. Desenie na wstawki.— N. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. Desenie do falbanek i do koszul damskich. — N. 16. Litery E. M. do znaczenia poszewek.— N. 17. Burno fałdowane z popeliny czarnéj przybrane pasmanterją i kwastami.— N. 18. Plecy tegoż burna. — N. 19. Suknia popelinowa popielata, obszyta u dołu trzema pliskami jedwabnemi i przepasana szarfą jedwabną. Szmizetka biała, muszlinowa w zakładki.— N. 20. Gabrjela czarna rypsowa, wyszyta sutaszem, zapięta z przodu na guziki. — N. 21. Suknia wełniana w krateczkę. Bluzka biała muszlinowa w zakładki.— N, 22. Suknia czarna jedwabna naszyta aksamitką i szmuklerskiemi grelotami.— N. 23. Suknia czarna bareżowa, garnirowana u dołu ruszami jedwabnemi i wstążeczką jedwabną. Mantylka szalikowa z tegoż bareżu, odpowiednio przybrana. Kapelusz z czarnego jedwabnego tiulu ubrany piórami.

Opis formy Gabrjeli dla dziewczynki 5-cio letniéj, i burnusa popelinowego, dla dorosłéj osoby.

N. 1. Przednia część sukienki *Gabrjeli* z czarnego rypsu, zapięta z przodu na guziki, jak to figura N-rem 20. oznaczona wskazuje, deseń u dołu wyszywa się grubym sutaszem. Forma Gabrjeli zachodzi pod szyję, można ją jednak wyciąć do gorsu podług woli.— N. 2. Boczek. N. 3. Plecy. — N. 4. Drugi boczek. — N. 5. Rękaw.— N. 6. Deseń do wyszycia dołu sukni.— N. 7. i 8. Forma burna w tyle fałdowanego w zmniejszonym formacie oznaczony N. 17 i 18, wykrojony podług wyrażonych centymetrów powinien trzymać u dołu łokci 7 długości łokci 2 i ćwierć. Obejmuje się wkoło skośną popeliną albo materją.— N. 9. Centymetry.

KORRESPONDENCJA.

Pani Marji Rogu. Powieści Szmita kosztują złp. 4.— Pani Emi. Bra. Mantyle aksamitne do sukien wełnianych zupełnie nie używane, najwłaściwsze do nich okrycia lub chustki kaszmirowe. Cena okrycia wynosi od 60 złp. do 166 złp. Ubranie na głowę z aksamitu kosztuje złp. 40. Pani Francisz. Wit. Kapelusze wysłaliśmy. Po upływie półrocza prześlemy Numer żądany.— Pani Adol. Oli. Od kupna krepy pozostało złp. 3 gr. 2. — Pani Teodozji Kolan. za książkę wraz z przesyłką należy się nam złp. 3 gr. 28.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołączają się desenie do haftu, oraz forma Gabrjeli dla dziewczynki 5-cio letniéj, i burnusa popelinowego dla dorosłéj osoby.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 30 Maja 1863 roku. 18 Maja.

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ II.

(Dalszy ciąg).

— A co? Czy nie mówiłem, że panna Anna nie potrafi odmówić: *elle est trop sage pour cela*— ozwał się pan Rożniszewski bardzo łaskawie.

— O, my umiemy ocenić względność panny Anny!... Pan Zdarnowski występuje jako miecznik — mówiła pani Wojniłłowa dalej — postawa jego szczególniéj dobrze do polskiego przypada stroju. Wacława przedstawi nam grzeczny i poczciwy pan Wojarowski, zastępując brata panny Lidyi, który także przy choréj pozostał matce. A więc raz jeszcze dziękuję serdecznie, w imieniu wszystkich dziękuję!

Gdyby Annę do téj sceny, posłyszana przypadkowa nie była przysposobiła rozmowa, byłaby się zapewne na wezwanie pani Wojniłłowéj więcéj zmięszała: to wszelako, co posłyszała, stało się dla niéj wskazówką.

Bal się rozpoczął — a przedstawienie miało dopiero po wieczerzy, o północy nastąpić: ze względu na balowe tualety pań, biorących udział w obrazach.

Anna dużo tańczyła — i pan Stanisław także znowu do mazura ją powiódł.

— Człowiek sądzi Bóg rządzi — zaczął z półuśmiechem w czasie pierwszego tanecznego przestanku—czyliżbym dziś rano był przypuszczał, że wieczorem w obrazach figurować będę! Ale niepodobna było przy swojém przedsięwzięciu obstawać, bo nie chciałbym nigdy być przekorą, w czémkolwiekbądź.

— I ja — poszepnęła Anna — nigdy, nigdy nie przypuszczałam.

Przyskoczył Alfons i uprowadził ją do figury.

— Zazdroszczę Staśkowi — wymówił sunąwszy z nią. — Czemuż mnie nie dano roli Wacława!.., Zawsze on szczęśliwszy ode mnie.

Gdy na swoje powróciła miejsce, pan Stanisław nie pociągnął już daléj rozmowy co do obrazów— Anna oceniła to jako względność dla siebie.

W czasie wieczerzy ustawione zostały krzesła rzędami wprost zasłony chińskiéj i przygaszono część świateł w salonie dla lepszego, scenicznego efektu. Widzowie zajęli miejsca. Orkiestra wykonała piękną uwerturę z *Halki*. Zasłona powiała w górę — i piękny ukazał się obraz, bardzo suto ze stron obudwóch, ukrytém dla widzów, oblany swiatłem: Królowa Jadwiga — Klementyna — w chwili przed spełnieniem ofiary. Długa, fałdzista, biała suknia owiewała posągową jéj postać, ujęta w stanie złotą przepaską; u stóp jéj leżał płaszcz purpurowy królewski, korona i berło. Dziewice krakowskie otaczały ją klęcząc, głębokim żalem przejęte — i kilka męzkich postaci, pogrążonych w smutku. Tło obrazu stanowiła nadwiślana okolica. Klementyna wyglądała bardzo pięknie, majestatycznie; pomiędzy dziewicami była i wdzięczna postać panny Niny Tarszownéj.

Zasłona zapadła. Widzowie unosili się nad tém co widzieli — gwar pochwalny szerzył się wokoło. Po chwili muzyka zagrała dźwięcznie *podpourri* z różnych melodyi krajowych, zacząwszy od cudnych krakowiaków — i odsłonięto śliczny obraz: gdy włościanie, których wojna całego pozbawiła mienia, stawają przed królem Władysławem Jagiełłą, opowiadając mu swoje niedole. Król przyrzeka, że im nagrodzi krzywdy; a śliczna królowa Jadwiga, stojąca obok męża, te wiekopomne wymawia słowa:

„A któż im łzy nagrodzi?"

Królem był nader przystojny pan Adam Skirgiłło. Jadwigą piękna żona jego, pani Lucyna: w białomglistéj podwiczce, która jéj wdzięczne otaczała lica; w amarantowym kołpaczku; w sukni białéj adamaszkowéj i płaszczyku błękitnym, obrzuconym gronostajami. Tło stanowiła królewska komnata na Wawelu.

Żal było widzom rozstać się z tym widokiem, przypominającym tak piękny ustęp z przeszłości naszéj. Chwilowa przeminęła pauza, i znowu— jak to dzieje się w życiu — po tamtych różnych a dzwięcznych tonach, popłynęły smętne a melodyjne sceny grobowéj *Łucyi z Lamermoru.* Ujrzano starego *miecznika* i *Maryą*, witających *Wacława.* Pana Zdarnowskiego postawa wydała się wybornie w czarnym żupanie i pasie litym. Anna przypominała słowa wieszcza:

„Przy nim młoda niewiasta czemuż kiedy młoda,
„Tak zamglonym promieniem świeci jéj uroda?"
„Nie ją ubiór udatny, ni ją stroją szaty,
„Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty.
„A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
„Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!"

Przedstawiła się nad wyraz uroczo: w czarnéj, długiéj sukni, w kontusiku czarnym; włosy w gruby splecione warkocz wieńcem otaczały jéj głowę — na którą zlekka, krepową zarzuciła zasłonę.

Wacław, w rycerskim stroju, stał przed niemi, nieco naprzód pochylony, jak gdyby miał przyklęknąć. I do niego sprawiedliwie można było zastosować wyrazy:

„Jak w pogodném spojrzeniu jaśniało wspaniale,
Wdzięczne serce młodziana w całéj swojéj [chwale."

Miecznik witał go radosném spojrzeniem. *Marya* wyciągnęła ku niemu rękę. Tło stanowiła lipa; na kamiennéj ławce duża leżała księga. Na boku kilku zbrojnych stało.

Smutne ten obraz pozostawił wrażenie — oparte na pamięci strasznego dramatu z rzeczywistości, a z przeszłości niezbyt jeszcze dalekiéj. Tony bolejące grobowéj pieśni umilkły. Chwilowe milczenie na całém zgromadzeniu zaległo. Poczęto wszelako znowu i gwarzyć — coraz głośniéj a głośniéj — posłyszano i śmiechy młode — i biedna *Marya* rychło zapomnianą została. Wtém zabrzmiały ochocze dzwięki mazura naszego Moniuszki — i przedstawiła się wesoła scena z *Wiesława*, w ślicznych, jasnych, barwnych ubiorach krakowskich, *Haliną* była ładniutka, szesnastoletnia Ada, wnuczka po bracie jenerałowéj, a *Wiesławem* brat jéj Bolesław, w górę wystrzelony, jasno włosy chłopiec. Do téj grupy należał także znowu Alfons i panna Tarszówna.

Zasłona zapadła. Na sali zadźwiękł taniec polski, i gdy całe ruszyło się zebranie — ukazały się w parach dobranych postacie z widzianych codopiéro obrazów: *Wandę* prowadził *Jagiełło*, stary *miecznik Jadwigę* — *Wacław* wiernym *Maryi* pozostał — i t. p. — Tany z podwojoną rozpoczęły się ochotą. Klementyna wszelako już nie tańczyła: zachowała wraz z malowniczym ubiorem i powagę ofiarnéj dziewicy — królowéj, którą przedstawiała.

Po wirowym walcu Anna znużona wyszła do pierwszego salonu, gdzie kilkanaście starszych osób bawiło — i usiadła na niskiéj kanapce, przysłonięta słupem, na którym stało popiersie *Jana z Czarnolasu.* Zadumała — i wdzięczne jakieś, lube zamajaczyły wspomnienia: *Marya— księżyc srebrny, przecięty nawpół gałęzią spróchniałą* — i *słońce zachodzące, przedzielone dwoma smugami chmurki czarniawéj* .... — to wszystko z *Maryą* niby w jeden splotło się wieniec. A trudno było uciekać myślą — pochyliła na dłoń czoło— i nic nie widziała, nie słyszała, co działo się w koło: cuda pamięciowe w czarodziejski zakuwały ją okręg.

— Pani utopisz się *w miłych myśli kole!* — zadźwiękło na raz jeden w jéj uchu. Zalękniona podniosła oczy: Alfons stał przed nią.

— O czemżeż?! — zapytał głos tłumiąc i pochylił się ku niéj.

— O niczem!.... Znużonam—odrzekła z przymuszonym uśmiechem, i powstała, by odejść.

Alfons zastąpił jéj drogę.

— Och, czemuż!... — zawołał, pochwycił gwałtem jéj rękę, przycisnął ją do ust i poszepnął:

„Tyś dla mnie zeszła, Maryo! i brzasku mych [myśli,
Swietną drogę twe światło ku niebiosom kryśli!"

Anna rumiana, strwożona, zdołała usunąć mu rękę — i szybko odbiegła.

— Proszę! — dogonił ją Alfons we drzwiach, i pośliznęli w rączéj polce za drugiemi parami.

Tańce długo jeszcze potrwały — lecz pierwsze, które odjechały, były panie z Trocka.

Całe sąsiedztwo dużo, o dużo miało do mówienia o festynie w Roztoczanach. I w Trocku dzień ś. Agnieszki wiele do rozmowy dostarczał przedmiotów — ale tym razem dużo chwalono, a przyganiano mało.

Nastąpiły w okolicy inne jeszcze wieczory z tańcami,lecz Anna na żadnym więcéj nie była. Ku końcowi karnawału pojechał Alfons do Warszawy. W przedwieczór wyjazdu, upatrzywszy sobie chwilę ogólnego zajęcia, zbliżył się do Anny, unikającéj go troskliwie, przysiadł się zasłaniając ją

sobą, i pochylony ku niéj, przyciszonym szeptał głosem:

— Jutro odjeżdżam .... może na długo. Odjeżdżam z żalem .... z tęknotą ... Czy pani wspomnisz niekiedy oddalonego?

— Pan jesteś bratem Kloci — wyjąkała Anna pomięszana.

— Och! — zawołał z goryczą — Nie karz mnie pani tym stosunkiem! .... Przyjdzie chwila .....

— Alfonsie, otóż jest mapa Żarczyna. Proszę!— odwołał go ojciec.

— Błagam nateraz tylko o względne wspomnienie! — wyszeptał jeszcze młodzian i porwał się na ojca wezwanie.

Anna, pochylona nad robotą, ukryła o ile mogła, pomięszanie swoje. Gdy wszelako po chwili podniosła oczy, spotkała mimowoli wzrok Stanisława — siedzącego opodal — zwrócony na siebie, a był tak dziwnego wyrazu, że aż więcéj zmięszała się jeszcze. Potém nagle powstał i przystąpił do Klementyny, rozmawiającéj z Łasińskim na środku salonu. Annie cierpko i smutno zrobiło się na sercu — jak gdyby sobie coś do wyrzucenia miała. Gdy póżniéj do swojego wróciła pokoju nakreśliła w *Notatkach,* tęsknem pociągana uczuciem:

„Gwiazdy! wy gdzieś lecicie jak żurawi stado!
Gwiazdy! polecę z wami po niebios szafirze.

4.

Ach! szczęście wiary, ah! nadziei siła,
Co w serce moje przez wzrok twój wróciła!

Zygmunt Krasiński.

L'amour vit de sa propre flamme, et même il s'allume en nous sans consulter notre expérience et notre raison.

G. Sand.

W pierwszych dniach kwietnia nadszedł list od pani Jaroławskiéj z Grodna, który biedną jéj córkę boleścią przejął. Donosiła: że babka dużo jest cierpiącą, znać z niepokoju o sprawę kierejską. Nadmieniła nadto: że ona sama już całkiem postradała nadzieję w uratowaniu choćby jakiejśkolwiek tylko cząstki téj całéj pretensyi, — a ztąd upadła na duchu i także czuje się niezdrową; daléj, że jest niepodobieństwem, ażeby na Wielkanoc do Warszawy powrócić mogły — i że to zapewne nie rychléj, jak w maju nastąpi.

Anna spłakała się bardzo i aż bólu głowy dostała. Klocia pobawiła chwilę przy niéj, ale potém zbiegła na dół i zajęła się czém inném. Godzina herbaty nadeszła — Anna poprawiła swój ubior i była gotową zejść do salonu, by nie dać powodu do przygany. Ale wtém nadbiegła Klocia z jakiemiś świeżutkiemi ciastkami, dodając, że jéj herbatę niebawem przyniosą.

Byłoż to względnienie jéj cierpienia? .. . Mogłaż to przypuszczać?! — Towarzystwo kilku osób, słów parę przyjaznych, byłyby jéj zapewne ulgę przyniosły — lecz byłażby to znalazła w salonie państwa Rożniszewskich?! — Wolała sama ze łzami pozostać swojemi.

Parę samotnych upłynęło jéj godzin. Wieczór był śliczny. Księżyc jasne roztoczył koło. Cisza w powietrzu uroczyście całe ukołysała stworzenie. Anna stanęła przy oknie i rozpalone czoło o chłodną wsparła szybę - patrząc się na rozpostarty przed sobą, wdzięczny obraz nocy wiosennéj. Widok świata Bożego — niebo zawsze pocieszenie niesie — uspakaja trwożne kołatanie serca — bo Twórcy opieka we wszystkiem widoma, błogiem przeczuciem duszę sierocą ogarnie. Podległa temu tém łacniéj tkliwa, wrażeniowa dusza młodéj dziewczyny: oczy jéj znowu łzy napełniły, ale łzy religijnego wzruszenia. Po chwili ogarnęła ją chęć zejścia na chwilę do ogrodu i orzeźwienia się świeżem powietrzem: paliło ją w skroniach — a głowę niby obręcz żelazna ściskała. Otuliła się płaszczykiem, zarzuciła kaptur na głowę — i zeszła. Odetchnęła całą piersią wonnym powiewem wiosennego wieczoru, odsłaniając nieco kapturek, by chłód owiał czoło i skronie.

W sypialniach pań jeszcze było ciemno. Z pokoju pana domu jasne biło światło — znać u siebie był zatrudnionym, a panie jeszcze w salonie bawiły.

Anna skierowała się w stronę rozjaśnioną najwięcéj promieniami księżyca — w stronę ku kościołowi, którego szara wieżyca na gwiazdzistém rysowała się niebie. Złożyła dłonie — westchnęła modlitewnie — i niby lżéj nieco zrobiło się sercu. Po chwili zawróciła znowu ku pałacowi, by o niewiele tylko oddalać się kroków. Wtém posłyszała za sobą odgłos lekkiéj, szybko zbliżającéj się stopy — obejrzała się pomimowolnie: pan Stanisław stał przed nią — i z zajęciem, niby ze żdziwieniem spojrzał się w jéj lica bledziutkie, oblane całkiem światłem księżycowém.

— Dobry wieczór — wymówił — przepraszam!.... Nie poznałem pani.

— Wyszłam, by nieco świeżego zaczerpnąć powietrza — odrzekła z lekkiem zadrżeniem głosu.

— Pani dziś byłaś cierpiąca?

— Babka moja chora.... matka cierpi....— Annie głosu nie stało, a oczy napełniły się łzami.

— Pani więc smutną odebrałaś wiadomość?— wymówił Stanisław z współczuciem.

— Bardzo smutną.

— Nie wiedziałem!... Mówiono tylko, żeś pani słaba.... Żałuję bardzo!

Po bladem licu Anny dwie grube stoczyły się łzy — lecz otarła je szybko.

— Biedna pani! — mówił znowu Stanisław, tłumiąc głos nieco. To pewnie babka i mama nie tak prędko jeszcze z Grodna powrócą?

— Zapewne..... A tak tego pragnę! — zacisnęła dłonie złożone.

— O! — wyrzekł Wojarowski, zniżając głos aż do poszeptu—i ja tego z całéj pragnę duszy!— ujął jéj rękę i do ust ją przycisnął. — Zapomniałem jakiegoś tam dokumentu w pokoju pana Rożniszewskiego — dodał głośniéj i swobodniéj— zostawiłem konie na drodze przy mostku, a sam pospieszyłem, karząc się za złą pamięć... A znalazłem nagrodę!... Spokojnéj nocy pani!—i pobiegł do pałacu.

Anna chwilę pozostała w miejscu — zdumiona — wzruszona — potém porwała się nagle— szybko powróciła do swojego pokoju, że ani wiedziała, jak wschody przebiegła; upadła na kolana, wzniosła złożone dłonie ku niebu — łzy obfite zalały jéj oczy — i ani poznać umiała, co w jéj działo się sercu.

Nazajutrz, o ranniejszéj godzinie jak zwykle, Klementyna — okryta leciuchném, pokojowém futerkiem, w rannym czepeczku, weszła do pokoju matki.

Pani Rożniszewska przeglądała przy biórku dzienne obrachunki — lecz po chwili już, siedziała córka obok matki na wygodnéj kanapce, i mówiła jéj półgłosem coś z wielkiem zajęciem.

— I któż ci o tém powiedział? — zapytała matka, widocznie wzburzona.

— Moja panna widziała ich... To kokietka... *une ehontée*...

— Zapewne!... Jednakżeż to umówiona schadzka być nie mogła!

— Nie, nie! Och, nie! — zawołała Klementyna — ale znać pilnowała na niego *elle l'a guetté!* Zaszła mu drogę.... *une effrontée!* Gdyby jéj się pozbyć!

I znowu coś tam ciszéj mówiły.

— Pójdę ja do ojca i z nim pomówię — pani Rożniszewska powstała i udała się do pokoju męża.

Pan Rożniszewski właśnie namaszczał i muskał włosy.

— A! — zawołał — dzień dobry! Cóż mi powiesz? — i grzecznie żonę pocałował w rękę.

— Wystaw sobie — zaczęła, miękki zasiadając fotel — że wczoraj, późno w wieczór, guwernantka zeszła się z panem Stanisławem w ogrodzie...

— At! zaśmiał się pan domu — Staś zapomniał u mnie papierów swoich, powrócił pieszo przez ogród i spotkał pannę Annę, chodzącą przed pałacem: miała ból głowy, płakała, i wyszła, by orzeźwić się powietrzem. Toćże sam o tém mi mówił.

— Więc z drogi powrócił?

— Tak jest. Gdy wyjechał za bramę, spostrzegł, że papierów zapomniał.... Sprowadziłem go następnie, ale panny Anny już nigdzie nie było. Że téż wy kobiety z myszy zaraz słonia zrobić gotowe!

— Ależ, mój kochany! Jesteśmy dbałe o honor domu, o przyzwoitość!

— Ani słowa! I rzecz to piękna, *il n'y a rien à dire*, lepiéj tego nawet zawiele, aniżeli zamało. Przestrzegałaś zawsze *najdelikatniejszych* odcieni! — wyrzekł małżonek z przesadą, skrobiąc przytém paznokcie swoje — i téż Tynię naszą wychowałaś podobnie, że jest *sensytywą* prawdziwą. Tym razem jednakże *alarmujecie* się napróżno.

— Wolałabym się takiéj pozbyć osoby, skoro na przyzwoitość nie zważa.

(d. c. n.)